

Staten Kirkland opuścił rondo kapelusza, odwracając się w stronę wiatru. Jego kowbojskie nakrycie głowy marki Resistol miało okazję się wykazać. Potężnie wiało z północy, a on był zmuszony ostro pędzić, aby wrócić do kwatery głównej, zanim burza zaatakuje z całą furją. Jego nowy wierzchowiec, deresz, którego kupił w zeszłym tygodniu, był niedoświadczony i płoszyły go zimowe błyskawice. Staten nie miał czasu, by założyć rękawiczki, które trzymał upchnięte w tylnej kieszeni. Musiał już jechać.

Kiedy klacz wierzgnęła w proteście, zakręcił lejce wokół dłoni i poczuł skórzane paski wrzynające się skórę, walcząc o kontrolę zarówno nad koniem, jak i nad wspomnieniami, które unosiły się tak nisko, jak ciemne chmury nad jego głową.

Tamtej nocy, pięć lat temu, z nieba leciał lodowaty deszcz, ale on nie był na swoim ranczu, tylko tkwił uwięziony na korytarzu szpitala okręgowego oddalonego o osiemdziesiąt kilometrów stąd. Jego syn leżał na jednym końcu tego korytarza, walcząc o życie, a reporterzy skulili się tuż za wejściem, na jego drugim końcu, czekając na wiadomości.

Obchodziło ich tylko to, że dziadek chłopca jest senatorem Stanów Zjednoczonych. Staten, ojciec i jedyny opiekun chłopca, próbował ich trzymać z dala, ale nie robiło to na nich wrażenia. Zależało im tylko na sensacyjnym nagłówku, a Statenowi na tym, by jego syn przeżył.

Nie dostał jednak tego, czego chciał.

Randall, jedyne dziecko Statena Kirklanda i jedyny wnuk senatora Samuela Kirklanda, zmarł tej nocy. Dziennikarze dostali swoje nagłówki, wraz ze zdjęciami Statena szturmującego podwójne drzwi i rzucającego się z pięściami na każdego, kto próbował stanąć mu na drodze. Dwóch dziennikarzy i nieświadomy niczego lekarz stażysta skończyli na podłodze, ale to go nie powstrzymało.

Tamtej nocy wbiegł w burzę, nie przejmując się deszczem. Nie dbał o własne życie. Dwa lata wcześniej pochował żonę, a teraz obok miał pochować syna, który zginął w wypadku samochodowym. Musiał uciekać przed bólem, który utkwiał tak głęboko w jego sercu, że nigdy się nie zagoi.

Teraz, pięć lat później, nadciągała kolejna burza, ale ból wcale nie zmalął. Wracał do bazy na półdzikim koniu, a deszcz mieszał się na jego policzkach ze łzami, których nigdy nie pozwolił nikomu zobaczyć. Tamtej nocy chciał umrzeć. Nie miał nikogo.

Choroba żony sprawiła, że zarówno on i jego syn stali się zgorzkniali i zagubieni. Gdyby żyła, może Randall byłby inny. Spokojniejszy. Może gdyby miał jej miłość, chłopak nie byłby taki dziki. Nie uważałby się za niezniszczalnego.

Nie był niezniszczalny. Zabiło go to, że jechał krętą drogą z prędkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Samochód, który dostał od dziadka miesiąc wcześniej na szesnaste urodziny, wypadł na zakręcie z drogi prowadzącej do Ransom Canyon i dachował. Gazety cytowały jednego z ratowników, który powiedział: „Dzięki Bogu, że był sam. Nikt w tym sportowym aucie nie przeżyłby tego wypadku”.

Staten żałował, że nie ma teraz obok niego jego chłopca. Czuł się martwy w dniu, w którym pochował Randalla obok swojej żony, a teraz czuł się martwy, gdy dopadały go wspomnienia.

Burza wokół szalała, a on jechał blisko krawędzi kanionu, pragnąc, by i jego pochłonęło grzęzawisko. Ale był piątym pokoleniem, które się urodziło na tej ziemi. Po nim nie będzie już Kirklandów, a on nie odejdzie stąd bez walki.

W pędzie przypominał sobie horror tamtej chwili, gdy zobaczył syna wyciągniętego z wraku, zbyt poobijanego i zakrwawionego, by nawet on, jego ojciec, mógł go rozpoznać. Krew Kirklandów zalała tamtej nocy czerwoną ziemię kanionu.

Staten gnał, słysząc stukot końskich kopyt dorównujący biciu jego serca.

Kiedy dojechał na miejsce i pozwolił, by koń pogalopował do stajni, wziął głęboki oddech, wiedząc, co musi zrobić.

Spojrzał w górę i zobaczył Jake’a, który czekał na niego przy drzwiach stodoły. Jake Longbow przypłacił rodeo kalectwem, ale nadal był jego najlepszym pomocnikiem na ranczu.

– Osusz ją! – krzyknął Staten, przekazując klacz pod opiekę Jake’a. – Muszę jechać.

Stary kowboj, z twarzą jak z niewyprawionej skóry, skinął głową, jakby wiedział, co powie Staten. Tysiące razy na przestrzeni lat Jake wkraczał do akcji, zanim Staten wydał polecenie.

– Zajmę się tym, panie Kirkland.

Staten minął szybko tylną zagrodę i wsiadł do ogromnego dodge'a 3500 z dieslowym silnikiem Cummins i napędem na cztery koła. Ciężarówka żłopała paliwo i nie była najwygodniejsza, ale gdyby wpadł dziś w poślizg, nie wypadnie z drogi.

Pół godziny później w końcu zwolnił, skręcając na farmę położoną trzydzieści kilometrów na północ od miasteczka Crossroads w Teksasie. Wyblakły znak, z kilkoma dziurami po kulach, głosił po prostu, że oto przyjechał do „Lawendowego Zakątka”. Nawet podczas deszczu powietrze tutaj pachniało lawendą. Dotarł do posiadłości Quinn. Jeden dom, jedna farma, a w okolicy nikogo, kogo można by nazwać sąsiadem.

Dom Quinn O'Grady zawsze mu przypominał domek dla lalek: jaskrawo pomalowane okiennice i wiktoriański styl. Ludzie czasami mówili, że dom był tak fantazyjny, jak jego właścicielka zwyczajna, ale Staten nigdy nie myślał o niej w ten sposób. Quinn była nieśmiała i nawet w podstawówce trzymała się na uboczu, ale wyrosła na niezależną kobietę. Utrzymywała się z bezwartościowej ziemi, którą zostawili jej w spadku rodzice.

Niewykluczone, że przez całe życie mówił jej tylko cześć, ale Quinn O'Grady była najlepszą przyjaciółką jego żony. Gdy ożenił się z Amalah, to z Quinn spędzała swoje babskie dni.

Jesienią razem wekowały brzoskwinie i uczęszczały na kościelne kursy szycia narzut patchworkowych i garncarstwa. Wybierały się do Dallas na wystawę sztuki lub do Canton na największą na świecie wyprzedaż garażową. Nie mógł zliczyć, ile razy jego żona wsiadała do starego zielonego pickupa Quinn i mówiła, że jadą na zakupy, jakby nie musiał wiedzieć nic więcej. Na ogół wracały jedynie z uśmiechem, który oznaczał, że zjadły deser lodowy.

Quinn nie rozmawiała z nim zbyt wiele w tych pierwszych latach, ale była dobrą przyjaciółką jego żony, a to miało znaczenie. Pod koniec siedziała z Amalah w szpitalu, aby on mógł wrócić do domu, wziąć prysznic i się przebrać. Przez ostatni miesiąc wydawało się, że zawsze była w pobliżu. Obie kobiety przyjaźniły się przez całe życie i zostało tak do końca.

Staten nie uśmiechnął się, wyłączając silnik przed domem Quinn O'Grady. Nigdy się nie uśmiechał. Już nie. Przez lata ciężko pracował, myśląc, że kiedyś przekaze ranczo swojemu synowi. Teraz, po jego śmierci ranczo zostałoby prawdopodobnie sprzedane na

aukcji, a środki wykorzystane, by wesprzeć kandydaturę jego ojca do senatu lub kto wie, może następnym razem staruszek postara się o fotel gubernatora. Chociaż Samuel Kirkland był po sześćdziesiątce, twierdził, że jego czwarta żona go odmładza. Nigdy nie interesował się ranczem i nie spędził na ziemi Kirklandów jednej nocy, odkąd Staten przejął to miejsce.

Przeniósł uwagę na Quinn, gdy otworzyła drzwi i na niego spojrzała. W jednej ręce trzymała duży ręcznik, opierając się o framugę i czekając, aż wyjdzie z ciężarówki i wejdzie do środka. Była wysoka, miała prawie metr osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i nosiła dość zwyczajne ubrania. Nie potrafił sobie wyobrazić Quinn w szpilkach lub z włosami upiętymi w jakikolwiek inny sposób niż długi warkocz, który zawsze nosiła na plecach. Odkąd zaczęła chodzić do szkoły, nosiła dżinsy, ale wtedy po jej plecach spływały dwa warkocze.

Zabawne, pomyślał Staten, gdy wyszedł z samochodu i próbował uciec przed deszczem. Oto kobieta, która nie chce mieć nic wspólnego z falbankami i koronkami, a mieszka w domku dla lalek.

Gdy dotarł na werandę i otrząsnął się jak wielki pies, podała mu ręcznik.

– Kiedy tylko zobaczyłam nadciągającą burzę, pomyślałam, że przyjdiesz. Zdejmij te zabłocone buciory, a ja przygotuję kolację. Zaczęłam gotować zupę taco, gdy tylko zobaczyłam chmury nadciągające z północy.

Nikt nie rozkazywał Kirklandowi. Nigdy. Tylko tutaj, w jej domu, robił to, o co prosiła. Może i nie miał już w sobie ani kropli miłości, ale nadal szanował Quinn.

Jego ostrogi zabrzęczały, gdy wszedł na ganek. Był od niej tylko o kilka centymetrów wyższy, ale miał szerokie bary i pewnie ważył dwa razy tyle co ona.

– Czy chmury przypadkiem. nie sprawiły, że pomyślałaś też o placku kokosowym?

Zaśmiała się cicho.

– Jest w piekarniku. Będzie gotowy za minutkę.

Patrzyli, jak burzowe popołudnie zamienia się w wieczór, a pioruny dają pokaz na niebie za jej kuchennym oknem. Podobało mu się to, że czuje się przy niej komfortowo, milcząc. Czasami rozmawiali o Amalah i zabawnych rzeczach, które się wydarzyły, gdy

dorastali. Czuł się tak, jakby on i Quinn byli tym, co pozostało, gdy wraz z Amalah umarło w nich to, co najlepsze.

Tylko że dziś jego myśli krążyły wokół syna i tak naprawdę wcale nie chciał rozmawiać. Gdy słońce zaszło, a temperatura spadła, lodowaty deszcz zamienił się w pył miękkiego, papkowatego śniegu, podczas gdy oni jedli w ciszy.

Kiedy sięgnął po talerz i zaczął wstawać, powstrzymała go dotknięciem wilgotnego rękawa.

– Ja się tym zajmę – powiedziała. – Dokończ swoją kawę.

Siedział cicho i nieruchomo przez kilka minut, myśląc o tym, jak to miejsce zdawało się spowalniać jego serce i ułatwiać mu oddychanie. W końcu odszedł od stołu i po cichu stanął za nią, gdy myła naczynia. Szorstkimi dłońmi, pokrytymi strupami w miejscach przecięcia, zaczął rozplątywać jej warkocz.

– Zrobiłem to raz, kiedy byliśmy w trzeciej klasie. Pamiętam, że nic nie powiedziałaś, ale Amalah nazwała mnie po szkole idiotą.

Quinn skinęła głową, ale się nie odezwała. Wspólne wspomnienia ułożyły się wygodnie między nimi.